

„Kuchnia” albo samo życie

UTALENTOWANY „wtkacolog” wrocławski czynił w antrakcie aluzje na zasadzie: „oni wszyscy z Niego”, zestawiając tym samym „Szwedów” z „obiadowym szczytem” w finale I aktu „Kuchni”. Kazimierz Piotrowski relacjonuje w programie, że krytyka wywodziła dramaturgię Weskera z doświadczeń dramatopisarskich Arthura Millera. Niżej podpisanemu sztuka kojarzy się najwyraźniej z gorkowskim „Na ani”. I to wcale nie dlatego, że przemożną rolę w rozwijaniu dramaturgicznego konfliktu obu utworów odgrywa włóczęga. Niewykluczone, że wszyscy mają rację. A że parantele nie są wcale najgorsze, ani pospolite, a na dodatek dość skrajne — „czysta forma” Witkacego z jednej a neonaturalizm scenopisarstwa amerykańskiego z drugiej strony — Wesker jawi się nam pisarzem ze wszech miar interesującym. Związka, jeśli w genealogię wpisze się jeszcze tamtą rosyjską opowieść o „byłych ludziach” z początków naszego stulecia. Rozległe terytorium czasu, postaw światopoglądowych i metod twórczych.

Trudno także powstrzymać się od refleksji, że dopiero angielski autor zdołał przekonać nas, iż można napisać dobry, fascynujący nawet, drażliwy „produkcyjniak”, to jest, że można pokazać „człowieka w procesie pracy” — w sposób bardzo atrakcyjny. Tyle tylko, że temat nie może być traktowany naskórkowo. Inaczej mówiąc autor posiadać powinien określoną sumę życiowych doświadczeń. Cokolwiek bowiem nie zostałoby powiedziane jest to sztuka napisana „z pazurem”, mięsista, posiadająca bardzo sceniczną — po prostu świetnie podsluchany — dialog, ostre dramatyczne spięcia.

Wesker nie próbuje budować wielkich symtezy, parabol czy metafor. Jego „Kuchnia” jest po prostu Kuchnią, pomieszczeniem, w którym stoją piece gazowe, stoly garnateryjne, wielki pień do rąbania mięsa i tym podobne akcesoria „gastronomicznego zaplecza” w dużej restauracji. Restauracja musi być duża. Inaczej na zapleczu nie uda się zgromadzić tak wielu ludzi posiadających swe własne codzienne problemy, swoje kompleksy i marzenia. Ludzi bardzo różnych, ale interesująco podpatrzonych, a przez to choćby, ciekawych. Ten pozornie pozabawiony twarzy tłum pulsuje, kłębi się i ście-

ra, żyje w zbiorowość, ale zarazem rozpada na kłęby tam ludzkich, indywidualnych cząstek. Rodzą się przyjaźnie, sojusze, rozzdźwięki, konflikty. W ostatecznym więc rozrachunku ta kuchnia jest zminiaturyzowanym obrazem spraw większych. Choćby taki moment znakomicie ilustrujący nie tylko kuchenne hierarchie. Szef kuchni „ruga” pracownika. W momencie jednak kiedy dostrzeże właściciela, zrobi wolte. Wobec pracodawcy poczuje się solidarny z podwładnym.

Albo taki problem — rzucony niejako mimochodem: czy marzeniem może być urzeczywistnienie hobby? Albo pozornie umykający uwadze szczegół: Kevin pamiętać będzie Peterowi (a we właściwym momencie wypomni) ową deseczkę do siekania, ale fakt, że właśnie Peter w milczeniu zastępował go w chwilach szczególnie ciężkich, pozostanie poza sferą świadomości i rozrachunków.

JEST więc ta „Kuchnia” tylko kuchnią, ale w owym mikrokosmosie odbija się to wszystko, co zwykliśmy nazywać życiem. I dlatego zapewne w tej dobrej napisanej sztuce tkwi co najmniej kilkanaście wątków i propozycji, konfliktów i problemów, z których każdy mógłby stać się kanwą i tematem odrębnego dramatu. Na przykład popularyzarny właśnie w twórczości powieściopisarskiej i dramatycznej „angry manów” problem „nieudacznika”, człowieka z jakichś względów nie przystosowanego do życia. Boć przecież w tym właśnie tkwi przyczyna dość powszechnej antypatii, którą współtowarzysze darzą Petera. Skoro jednak reżyser i aktor problemu tego nie eksponowali i ja zbyt wiele o nim pisać nie będę, zwłaszcza że interesujących diagnoz w „Kuchni” niemato.

Wanda Laskowska pewną ręką poprowadziła liczną — (niemal książka telefoniczna) — zespół. Nadala widowisku dobre tempo, interesująca je zrytmizowała, trafny, choć zapewne nienowyy, wydaje mi się też pomysł by weryżim oprawy scenicznej kontrastować z umownością działania. Niewątpliwie zasługą reżysera jest i to, iż w tym przedstawieniu odnotować można kilka ciekawych propozycji aktorów na tle dobrego i wyrównanego zespołu.

ZACZNĘ jednak od postaci, której na dobrą sprawę nie było, choć bardzo, bardzo by była potrzebna. Myślę tu o Monice. Ewa Kamas opowiadała po prostu to wszystko co z tekstu wymikało, nie dostrzegłem jednak nawet prób aktorskiego uwierzytelnienia postaci. Znacznie mniejsze tekstowe role — (Berta Sabiny Wiśniewskiej, Hans Wojciecha Malca, ba nawet milcząca, lunatyczna Anna Janiny Zakrzewskiej) — były własnym scenicznym życiem, Ewa Kamas „opowiadana” kolejny problem i ku obojętnemu zadowoleniu znikala. Można mieć także niejaki pretenzje do Andrzeja Hrydzewicza (Peter), była to na pewno propozycja sceniczna, ale jakby ową „porwana” na kolejne epizody, także jego finałowy gest rozpaczy nie znajdował dostatecznego uzasadnienia.

Bardzo interesującą propozycję zgłosił natomiast Janusz Paszek (Kevin), który chyba — nie pierwsze to przecież doświadczenie — „szukać się” winien w rolach charakterystycznych. Wśród równych nlech wolno będzie odnotować jeszcze: Andrzeja Polkowskiego (Szef kuchni), Piotra Kurovskiego (Frank) i Erwina Nowiaszaka (Dymitri) a także, co było dla mnie osobliście dużym zaskoczeniem Bolesława Abarja (Max). Cały jednak zespół był współtwórcą tego sukcesu.

Zofia Pietrusińska zaprojektowała tak funkcjonalne wnętrza i tak sympatyczne „mundurki” kelnerek że można mieć obawy, iż zechce ją „skaperować” gastronomia, co nie byłoby dla teatru najsześciłwsze.

Tak więc w ciągu jednego tygodnia Teatr Polski zaprezentował dwa ponad wszelką wątpliwość udane przedstawienia, co nie tylko pozwala optymistycznie patrzeć na jego własne perspektywy w biejącym sezonie, lecz także znakomicie animuje, niezbyt ostatnio interesujące, wrocławskie życie teatralne.

BOGDAN BAK

Teatr Polski we Wrocławiu, Arnold Wesker „Kuchnia” (The Kitchen). Przekład: Kazimierz Piotrowski. Reżyseria — Wanda Laskowska. Scenografia — Zofia Pietrusińska. Premiera 20 stycznia 1978 r.